

Rozdział 9

Wszystko się zmienia

Dzień był wyjątkowo piękny. Słońce świeciło wesoło, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Dawniej w taką pogodę Sea Swirl ruszyłaby na miasto albo do spa, nie zwracając uwagi na problemy dnia codziennego. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Od kiedy Canterlot został zdobyty, a Ponyville spłonęło, życie w Equestrii obróciło się do góry nogami. Zamiast na spacer wychodziła na dziedziniec szkolić swoich żołnierzy albo planowała kolejne akcje dywersyjne.

Bładoróżowa klacz siedziała właśnie w swojej świeżo wyremontowanej komnacie pochylając się nad mapą Equestrii. Narysowane węglem linie oznaczały trasy, którymi przemieszczały się wozy z zaopatrzeniem księcia Blueblooda. Sea Swirl dostała od Luny wyraźne rozkazy. Miała jak najbardziej napsuć mu krwi. Jednorożec starał się wypełniać rozkazy co do joty. Jej kucyki napadały na wojskowe karawany i szpiegowały samego uzurpatora. Jakimś cudem wszystko szło bardzo dobrze. Niedawno zwerbowali nawet kilka kucyków z Manehattanu i kilku mniejszych miasteczek. Na twarzy klacz wykwił uśmiech, gdy pomyślała, jak wściekły musi być z tego powodu Blueblood.

Sea Swirl podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Otaczający ją Las Everfree wciąż wydawał się tak samo mroczny i tajemniczy jak dawniej, ale teraz sprawiał też, że czuła się bezpiecznie. Ulokowanie się tutaj było dobrą decyzją. Nieprzebyty las i jego nieciekawa reputacja skutecznie odstraszały postronnych. A niezliczone rosnące wokół drzewa zapewniał stały dostęp materiałów budowlanych.

Bładoróżowa klacz wychyliła się trochę bardziej za okno. Wokół pałacowych murów zaczynało wyrastać coś na kształt małego miasteczka. Niewielkie, sklecone naprędce chałupy zaczęły pojawiać się jak grzyby po deszczu w miarę napływania nowych rekrutów. Były małe, o drewnianych szkieletach wypełnionych plecionką z kijów i gałązek oblepionych gliną - mieszanką słomy, błota i nawozu. Dachy kryte strzechą, a za okna służyły dziury w ścianach. W większości chat funkcję drzwi spełniały płócienne pałatki. Sea Swirl poczuła się rażniej widząc te wszystkie kucyki, które łączył wspólny

cel. Byli jedną wielką rodziną. A rodzinę trzeba chronić.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Klacz odwróciła się na kopycie i usiadła na krześle łącząc przednie kopytka i opierając je na stole. Używając magii otworzyła drzwi.

Do środka wszedł Big Macintosh, jak zwykle spokojnym równomiernym krokiem. Miał na sobie jedną z nowych zbroi. Pomimo obojętnego wyrazu twarzy w jego oczach widać było złość.

- Witaj Big Mac - powitała go jakby nigdy nic. - Co tam u Cheerlee?

Jednorożec uśmiechnął się znacząco. W tym obozie wieści szybko się rozchodzą. Oba kucyki stały się tematem plotek większości tutejszych klaczy. Sea Swirl omal nie parsknęła śmiechem wspominając niektóre z zasłyszanych opowieści o rzekomych hałasach dochodzących co noc z ich sypialni. Zachowała jednak spokój.

- Wszystko z nią w porządku - odarł Big Mac - Ale nie mogę tego powiedzieć o Apple Bloom. Wyjaśnisz mi, dlaczego pozwoliłaś jej iść na misję nie informując mnie o tym? Koniec końców, to ja jestem za nią odpowiedzialny i powinienem wiedzieć takie rzeczy.

No tak, pomyślała Sea Swirl. Powinnam wiedzieć, że o to mu chodzi.

Apple Bloom, Sweetie Belle i Scootaloo. Trzy małe klaczki przybiegły do niej kilkanaście dni temu i opowiedziały o tym co widziały w Ponyville. Bladoróżowy jednorożec pamiętał je z wcześniejszych czasów. Radosne i pełne energii dziewczynki z obsesją na punkcie zdobycia swoich uroczych znaczków. Teraz jednak zmieniły się. Stały się bardziej poważne i skryte. Widok zniszczonego Ponyville musiał być dla nich prawdziwym szokiem, odciskając piętno na ich psychice. Przestały się włóczyć i starały się pomagać w obozie. Sweetie Belle wymyśliła nawet pewnego rodzaju hymn, który bardzo się wszystkim spodobał. Scootaloo i Apple Bloom, natomiast pomagały przy remoncie zamku i budowie nowych domów. Ostatnio jednak wszystkie trzy klaczki chciały dołączyć do oddziałów wypadowych. Sea Swirl była dość sceptyczna co do tego pomysłu, jednak po głębszym namyśle zgodziła się i przydzieliła je do zwiadu. Dziewczynki udowodniły już, że potrafią sobie poradzić w terenie. No i w przeciwieństwie co do niektórych widziały już prawdziwą stronę wojny, podczas gdy

spora część nowych kucyków była po prostu niezadowolona z nowych władz. Natomiast mieszkańcy Ponyville nie mieli już do czego wracać.

- Pewnie masz rację - przyznała Sea Swirl. - Ale to i tak nie wpłynęłoby na moją decyzję.

- Są za małe - odparł Big Mac marszcząc brwi. - Apple Bloom ma dopiero osiem lat! To jeszcze dzieciak, nie żołnierz!

- Rozmawiałeś z nią ostatnio? - spytała się klacz. Na widok miny czerwonego ogiera mówiła dalej. - Zmieniła się. Wszystkie trzy w ciągu tych kilku tygodni wydoroślały bardziej niż mogłoby się wydawać. Szczególnie Apple Bloom. Big Mac, przecież wiesz, że gdybym im zabroniła iść, po prostu by się wymknęły. Znasz je, nawet lepiej ode mnie. Zamykając je w obozie nic nie zdziałasz.

- Może masz rację - odparł Big Macintosh po chwili milczenia. - Po prostu... Apple Bloom mnie unika. Zupełnie jakby się na mnie obraziła. Nie rozumiem tego. Spędza całe dnie w obozie, byle daleko ode mnie. Źle się z tym czuję, ale nie wiem co robić.

- To pewnie z powodu śmierci babci Smith - zasugerowała Sea Swirl. - Musiał być to dla niej straszny cios. Do tego dochodzi jeszcze strata farmy. Musisz dać jej trochę czasu Big Macintosh. W końcu jej przejdzie. Jestem tego pewna.

- Obyś miała rację - powiedział czerwony kucyk odwracając się w stronę drzwi. - Straciłem już dom i babcię Smith. Nie chcę stracić jeszcze siostry.

Po tych słowach, wyraźnie przybity, ruszył przed siebie. Zamykając za sobą drzwi skinął jej jeszcze głową na pożegnanie. W pokoju zapanowała cisza.

Mam nadzieję, że wszystko z tobą w porządku Apple Bloom, pomyślała Sea Swirl patrząc w niebo. *Jeśli coś ci się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę.*

Manhattan nocą był bardzo niebezpiecznym miejscem. Pojedyncze latarnie jedynie częściowo rozświeślały wszechobecny mrok. Idąc o tej porze po mieście trzeba

się było liczyć z możliwością poważnego uszczerbku na zdrowiu. Gdy słońce zachodziło, męty wszelkiego rodzaju opuszczały swe kryjówki w poszukiwaniu jakiegoś bezbronnego kucyka, którego będą mogły obrabować. Dlatego też, nikomu nie śpieszyło się, by opuścić miejsce zamieszkania.

Derpy również nie zamierzała nigdzie wychodzić. Tak jak codziennie od dwóch tygodni zamknęła sklep równo o dwudziestą. Teraz siedziała w salonie na pierwszym piętrze zajadając świeżo upieczoną babeczkę z czekoladą.

- Wygląda na to, że znowu miałaś udany dzień - powiedział Rick - "Pod Muffinką" robi tu furorę - parsknął śmiechem, gdy wymawiał wymyśloną przez Derpy nazwę ciastkarni.

- Można, by pomyśleć, że naprawdę jesteś piekarzem - dodał Tick, uśmiechając się pod nosem. - Doskonale grasz swoją rolę.

Rick i Tick, dwa bliźniaki. Kucyki ziemne o identycznym Granatowym umaszczeniu i czarno czerwonych grzywach. Żeby łatwiej było ich odróżnić, nosili na szyjach kolorowe chusty. Jeden czerwoną, a drugi niebieską. Oficjalnie byli jej dalekimi kuzynami, których zatrudniła do pomocy w sklepie. Nieoficjalnie robili za jej ochroniarzy.

Derpy została wysłana do Mainhattanu w roli łącznika. Raz na jakiś czas otrzymywała raporty od agentów ruchu oporu dotyczących Księcia Blueblooda. Jego decyzje i ruchy wojsk były pod stałą obserwacją, a do szarego pegaza należało przysyłać wszystkie te raporty dalej. Oczywiście nie była jedyna. W całym mieście było najpewniej kilku łączników. Każdy miał własne kontakty, podwładnych i wyznaczone cele.

- Po prostu lubię to co robię - odpowiedziała z pełnymi ustami.

- Tak, rzeczywiście coś w tym jest - zgodził się Rick również zajadając się babeczkami. - Nawet mama nie robiła lepszych wypieków.

- No nie wiem - odparł sceptycznie Tick przeglądając gazetę. - Babeczki to babeczki. Nie widzę w nich nic specjalnego.

- Tak, tak wiemy o tym - powiedział jego brat machając kopytem. - Powiedz lepiej co takiego wyczytałeś w tym szmatławcu. To musi być coś ciekawego.

- Bo jest - zgodził się Tick. - Książę Blueblood oferuje 1000 bitów za jednego członka ruchu oporu i grozi dożywociem za ich ukrywanie. Wcześniej dawał 500. Musi być wściekły.

- Bardzo dobrze - powiedziała Derpy z pochmurną miną. - Czy on naprawdę myśli, że ktoś nas wyda? Po tym co zrobił z tym miastem? Wolne żarty.

- No nie wiem Derpy - odparł Rick z westchnieniem. - Tak jak powiedziałaś, życie tutaj jest naprawdę ciężkie. Jeśli nagroda będzie odpowiednio wysoka, wątpię by ktoś się zawahał. Głód i strach potrafią sprawić, że nawet najwierniejszy ogier zapomni o lojalności.

- Cholerne książętko - powiedziała Derpy krzywiąc się ze złości. - Że też nie możemy mu nic zrobić.

- Na razie skupmy się na swoim zadaniu - poradził Tick odkładając gazetę. - Nie zamartwiajmy się na zapas.

W tym momencie uwagę Derpy przykuł jakiś ruch na ulicy. Wstała z fotela i podeszła do okna z zaciekawieniem obserwując co dzieje się na ulicy.

Niewielki szary pegaz o zielonej grzywie gnał na złamanie karku przez ulicę, kierując się w stronę jej sklepu. Był przestraszony. Szara klacz od razu rozpoznała uciekającego ogiera. To Dorek, jedna z jej wtyczek w otoczeniu Księcia Blueblooda. Zachowanie ogiera mogło oznaczać tylko jedno - został zdemaskowany. Do tego jeszcze biegnie tutaj! Derpy zrozumiała już, że jej kryjówka jest spalona. Muszą uciekać i to szybko.

- Rick, Tick pakujemy się - powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu i kierując się na parter. - Kryjówka spalona.

Nie oczekiwała odpowiedzi. Odgłosy krzątania upewniły ją, że jej ochroniarze zrozumieli co się dzieje i nie tracili czasu na zbędne pytania. Musieli się śpieszyć.

Derpy zeszła po schodach i znalazła się w sklepie. Minęła ladę i ruszyła w kierunku drzwi otwierając je dosłownie sekundę przed tym, zanim Dorek w nie uderzył. Szary pegaz o grzywie w dwóch odcieniach zieleni wleciał do sklepu i przekoziółkował parę metrów i zatrzymał się na ścianie. Jego zniewieściała postura i

typowo klaczy pyszczek często prowadził do omyłek. Czasami dla żartu zakładał nawet różową kokardę na grzywę. Zawsze ją to rozbawiało, ale teraz nie było jej do śmiechu. Dorek szybko się pozbierał i doskoczył do szarej klaczy wciskając jej w kopyta zmięty pergamin.

- Trzeba to jak najszybciej wysłać do bazy głównej! - powiedział rozgorączkowany. Derpy przejęła jego meldunek i starała się uspokoić przestraszonego ogiera.

- Spokojnie Dorek, co się dzieje? - dopytywała się szara klacz. Za jej plecami rozległo się charakterystyczne skrzypienie. Rick i Tick najwyraźniej wykonali już swoje zadanie i chcieli być jak najbliżej osoby, którą mieli ochraniać. Poczuła się nieco bezpieczniej.

- Nie ma czasu! - upierał się z paniką w oczach. - Oni zaraz tu będą!

Jakby dla potwierdzenia jego słów, na ulicy zapanowało poruszenie. Z pobliskiego zaułka dało się słyszeć dźwięk wielu podkutych kopyt. Chwilę później pojawili się - żołnierze Księcia Blueblooda - ubrani w zbroje z połączanymi elementami. Prowadził ich jakiś kuc z monoklem na oku. Sposób poruszania i ubiór od razu zdradzały jego szlacheckie pochodzenie. Derpy zaklęła.

- Faktycznie, nie mamy czasu - powiedziała obracając się na kopycie i podbiegając do lady. Otworzyła ukrytą szafkę i wyciągnęła z niej torbę, specjalnie przygotowaną na tę okazję. Otworzyła ją w pośpiechu i schowała raport Dorka do specjalnej foliowej torebki, po czym zamknęła juk i nałożyła sobie na plecy.

- Plan awaryjny - powiedziała do swoich ochroniarzy. Tamci skinęli głową kierując się w różne strony sklepu.

- Miałem nadzieję, że posiedzimy tu trochę dłużej - narzekał Rick wyciągając z szafki swoją prowizoryczną maczugę - starą nogę od stolika z powbijanymi w nią zardzewiałymi gwoździami - i machając na próbę.

- Daj spokój - zachnął się Tick chwytając za całkiem okazały nóż z kuchni. - Cały czas narzekałeś, że nic się nie dzieje. Teraz masz okazję się wyszaleć!

Bliźniacy uśmiechnęli się do siebie drapieżnie i skinęli głowami. Derpy,

tymczasem skierowała się w stronę jednej z lamp zawieszonych na ścianie. Przekręciła ją w prawo, uruchamiając ukryty mechanizm. Niewielka część ściany odsunęła, się ukazując mały pokój, półtora na półtora metra. Weszła do środka i zamknęła przejście. Otaczającą ją ciemność rozświetlała tylko niewielka dziurka wydrążona w jednej z desek. Szara klacz powinna zniknąć, ale nie mogła się powstrzymać. Schyliła się i przytknęła oko do niewielkiego otworu.

Sklep pogrążony był w lekkim półmroku. Światło lamp ulicznych przechodziło jednak przez okna, oświetlając stojące wszędzie stoły z wypiekami, które rzucały długie cienie. Rick stał wtulony w niewielką przestrzeń pomiędzy drzwiami wejściowymi a oknem. Swoją maczugę trzymał możliwie najbliżej ciała. Jego twarz wyrażała najwyższe skupienie. Tick schował się za drzwiami prowadzącymi do składzika, trzymając w zębach kilka noży. Obaj wyglądali groźnie i zdecydowanie nie zamierzali tanio sprzedać swojej skóry. Natomiast z Dorkiem sprawa miała się inaczej. Szary pegaz rozglądał się na wszystkie strony starając się znaleźć jakąś kryjówkę. Najwidoczniej jedynym rozsądnym wyjściem okazała się dla niego szafa stojąca w kącie. Podbiegł do niej, otworzył skrzypiące drzwiczki i schował się do środka. Derpy miała tylko nadzieję, że będzie siedział cicho.

W końcu jeden ze strażników załomotał w drzwi wejściowe. Kilku z nich podchodziło do okien, chcąc zajrzeć do środka. Szara klacz wstrzymała oddech.

- Otwierać, psia mać! - Krzyknął strażnik wyraźnie poirytowanym głosem. - Otwierać w imię Księcia Blueblooda.

- Otwierać, bo każę spalić tę budę! - wrzasnął rozeźlony brakiem odpowiedzi. Depry usłyszała kilka cichych przekleństw i kilka krótkich rozkazów. Chwilę później rozległ się głośny łoskot. Potem kolejny i kolejny, aż w końcu żelazne zawiasy oderwały się od drewnianej framugi. Drzwi poleciały na ziemię wzbijając wokół tuman kurzu. Jednorożec o niezwykle szpetnej twarzy wszedł do środka gniewnie zaciskając wargi.

W chwili, gdy strażnik przekraczał próg "Pod Muffinką" Rick spiął swoje imponujące mięśnie i używając całej siły zamachnął się w jego stronę. Prowizoryczna maczuga wbiła się w twarz jednorożca z dość nieprzyjemnym odgłosem. Jednorożec

padł jak długi na ziemię ciągnąc za sobą swojego zabójcę. Rick przekoziółkował dwa metry na podłodze lądując na plecach. Do środka zaczęli wchodzić kolejni żołnierze. Pierwszy z nich niemal natychmiast padł na ziemię. Z jego szyi starczała rękojeść kuchennego noża. Drewniana posadzka sklepu Derpy pokryła się czarną cieczą. Padały kolejne trupy.

Szara pegaz uznała, że dość już się napatrzyła. Ostatnią rzeczą jaką ujrzała był Rick wyszarpujący swoją maczugę z ciała powalonego wcześniej jednorożca. Klacz odetchnęła i pociągnęła dźwigienkę wystającą ze ściany.

Derpy mimowolnie krzyknęła, kiedy ziemia ustąpiła nagle pod jej kopytami. Uderzyła o coś plecami i poczuła, jak zsuwa się po gładkiej powierzchni. Powietrze zrobiło się cieplejsze a do nozdrzy klacz wypełnił bardzo nieprzyjemny fetor.

Nagle tunel, którym leciała skończył się. Pegaz poczuł, że leci, a zaraz potem runęła w mokrą ciemność. Woda wdzierала jej się do nozdrzy i do uszu, ale jakimś cudem udało jej się powstrzymać przed otworzeniem ust. Otarła oczy i rozejrzała się dookoła. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Derpy zrozumiała, że wylądowała w ściekach. Potrzebowała wszystkich sił, by utrzymywać głowę na powierzchni i nie zanurkować ponownie w tej rzece fekaliiów.

- Więc tak to jest być po uszy w gównie - stwierdziła Depy z obrzydzeniem. Prąd był dość silny i już po chwili szara pegaz, pomimo że cała w nieczystościach klacz kierowała się prosto w stronę oceanu. Nabrała powietrza i zaczęła pracować kopytami byle, tylko jak najszybciej wydostać się z tego ohydneho "gulaszu".

Derpy od kilkadziesiąt minut walczyła z zalegającą wokół śmierdzącą breją, czując coraz większe zmęczenie. Wcześniej energiczne ruchy stawały się coraz bardziej ociężałe, a mięśnie nóg były coraz bardziej spięte. Szara klacz musiała odpocząć. Przestała machać kopytami. Wtedy właśnie prosty kanał zaczął opadać w dół, a rzeka ekskrementów nabrała prędkości. Po kilku minutach Depy wreszcie zobaczyła światło. W jej oczach zalśniły łzy, nie wiedziała, czy to z powodu wzruszenia czy unoszących się wokół cuchnących oparów. A potem kanał się skończył.

Dawna listonoszka zaczęła spadać z dość sporej wysokości. Całe jej ciało

oblepiała obrzydliwa, brązowa materia, dodatkowo ograniczająca jej ruchy. Jedyne co udało jej się zrobić, to unieść skrzydła na tyle wysoko, by mogła poszybować jeszcze kilkanaście metrów, po czym wskoczyła do morza. Depry nigdy jeszcze nie wskoczyła do wody z taką radością. Wciąż wstrzymując oddech zaczęła się szorować, odkrywając coraz większe fragmenty swojej szarej sierści. Wypłynęła dopiero wtedy, gdy płuca zaczęły ją palić żywym ogniem. Zaczęła chciwie łapać powietrze, z każdym wdechem czując niesamowitą ulgę.

Gdy była wreszcie względnie czysta spojrzała na znajdujący się przed nią Manhattan. Nie mogła tam wrócić. Dorek dał jej do przekazania jakąś niezwykle ważną wiadomość. Depry zamyśliła się. To bez wątpienia jest bardzo ważne. Jej zielony przyjaciel nie doprowadziłby do takiej sytuacji, gdyby tak nie było. W takim razie, pozostało jej tylko jedno. Dostać się do swojego ostatniego bezpiecznego kontaktu, na farmę Apple Honey.

Delikatny wietrzyk kołysał koronami drzew i dawał ukojenie. Dzień był wyjątkowo gorący, nawet ukrywając się w cieniu dało się wyczuć lejący się z nieba żar. Jeszcze kilka tygodni temu taka pogoda wydawałaby się jej idealna do zabawy, ale teraz było inaczej.

Apple Bloom, Sweetie Belle i Scootaloo siedziały pod krzakiem, obserwując trakt. Las, w którym się chowały zaczynał się jakieś sto metrów od niego na dość stromym pagórku, co dawało bardzo dogodną pozycję zarówno do obrony, jak i do ataku. Żółta klaczka słyszała nierówny oddech Lyry, chowającej się za drzewem pół metra od nich. Ich oddział liczył dwadzieścia kucyków. Ich zadaniem miało być rozpoznanie, ale Thunderlane - mianowany dowódcą zwiadu - twierdził, że niedaleko stąd znajduje się wroga karawana, którą łatwo będzie przejąć. Apple Bloom nie była pewna co do tego planu, ale przecież była tylko małą klaczką. Jej zdanie się nie liczyło. Odruchowo dotknęła kopytem drewniany totem, zawieszony na szyi - prezent od Zecory - i od razu

poczuła się pewniej. Wizyta u szamanki była bardzo oczyszczająca. Apple Bloom nie była pewna, dlaczego zwierzyła się jej ze wszystkiego co ją spotkało w ciągu kilku ostatnich dni. Ważne jednak, że dzięki temu zrobiło jej się trochę lepiej. Starsza klacz była szczególnie zainteresowana wizjami, które Apple Bloom zaczęła miewać, odkąd zobaczyła spalone Ponyville. Nazwała ją "Widzącą", cokolwiek to znaczy i dała jej ten talizman, zapewniając, że pomoże jej opanować swój talent. Jedyne co miała zrobić to skupić się na totemie....

O wilku mowa, pomyślała klaczka, gdy świat nagle zaczął szarzeć. Teraz jednak było inaczej. To z całą pewnością nie była przeszłość.

Na trakcie znajdowały się trzy wozy. Dwa pierwsze miał wyjątkowo wysokie nadwozie zakryte płótnem. Trzeci, natomiast był zwyczajną klatką na kółkach. To właśnie ten ostatni pojazd przykuł jej uwagę. W środku siedziało pięć kucyków. Trzy ogiery o dość mizernym wyglądzie kuliły się w jednym kącie klatki, a dwie klacze kucyków ziemnych w drugim. Jedna z nich wyglądała na ranną, a druga - nie mogła być starsza od Apple Bloom - tuliła się do niej i rozglądała się z przerażeniem dookoła. Na trakcie toczyła się walka.

Żołnierze eskortujący karawanę opierając się o boki wozów starali się odpierać atak dawnych mieszkańców Ponyville. Zarówno na samej drodze jak i na wzniesieniu leżało już kilka trupów. Szczęk metalu i krzyki rannych były ogłuszające. Apple Bloom chciała jak najszybciej stąd zniknąć. Kopytko samo powędrowało w stronę naszyjnika. Klaczka zaczęła skupiać całą swoją uwagę na drewnianym totemie wyrzeźbionym przez Zecorę. Nie minęło dużo czasu, kiedy poczuła bijące od niego delikatne ciepło, a obraz zaczął się rozmazywać. Ostatnią rzeczą jaką widziała, były trzy małe klacze podkradające się do klatki.

- Apple Bloom! - szepnęła Scootaloo potrząsając przyjaciółką. - Co jest? Skup się! Najeżdżają!

Żółta klaczka potrząsnęła głową i spojrzała w kierunku wskazywanym przez pomarańczowego pegaza. Rzeczywiście dało się już zobaczyć karawanę, wyjeżdżającą zza zakrętu.

Każdy wóz był ciągnięty przez dwa masywne kuce ziemne. Poruszały się powoli, krok za krokiem, co najwidoczniej denerwowało żołnierzy idących gęsiego po obu stronach karawany. Apple Bloom naliczyła trzydziestu. Za sobą usłyszała dźwięk strzał, zakładanych na cięciwy. W ich oddziale było ośmiu łuczników, z czego tylko dwóch naprawdę potrafiło strzelać. Żółta klacz zastanawiała się, jak można się zmienić w tak krótkim czasie. Nigdy wcześniej nie myślała tak strategicznie. Ale też wcześniej nie musiała obawiać się o swoje życie.

Wozy tymczasem dotarły już do połowy widzianego przez nią traktu. Spojrzała na Thunderline'a, który wydał jakieś szybkie polecenie i złapał za miecz.

Chwilę później Apple Bloom usłyszała brzęk cięciwy. Strzały pomknęły z wielką szybkością w stronę wozów. Cztery z nich wbiły się w drewno nie czyniąc nikomu krzywdy, ale drugie tyle sięgnęło celu. Dwóch gwardzystów padło od razu, jak rażeni gromem. Z kolei trzeci - postawny ogier jednorożca - zawył, gdy dosięgły go dwie strzały, jedna utkwiała w kopycie, druga uderzyła w stalowy hełm tworząc głębokie wgniecenie. Pozostali żołnierze odwrócili się w kierunku lasu.

Dawni mieszkańcy Ponyville zaczęli zbiegać ze wzgórza prosto w stronę karawany, a łucznicy w pośpiechu chwyтали kolejne strzały.

Wróg nie pozostał dłużny, mieli własnych strzelców. Trzy jednorożce wyciągnęły z wozów małe, załadowane już kusze i kołczany pełne bełtów. Chwilę potem trzy kucyki zaczęły zsuwać się bezwiednie w stronę traktu. Jednak odległość między przeciwnikami drastycznie się zmniejszała.

Wtedy Zdobywcy po raz pierwszy w życiu widzieli jak ktoś umiera. Znaleźć martwego kucyka to jedno, ale zobaczyć jak giną, zaledwie kilkadziesiąt metrów od ciebie to coś zupełnie innego. Trzy klaczki patrzyły pobladłe na bitwę rozgrywającą się w dole. Apple Bloom wiedziała już, że chwilę temu widziała przyszłość.

Mieszkańcy Ponyville dotarli do wozów. Szczęk stali uderzającej o stal, krzyki rannych i zabitych tworzyły upiorną kakofonię dźwięków. Widok krwi tryskającej z odciętych kikutów sprawiał, że żółta klacz poczuła mdłości. Przełknęła ślinę starając się zapanować nad drżeniem kopyt.

Wszystko działo się tak jak w jej wizji. Strażnicy stłoczeni w jednym miejscu odpierali ataki kucyków. Łucznicy w lesie woleli nie ryzykować trafienia swoich przyjaciół i chwycili za swoją prowizoryczną broń.

Apple Bloom spojrzała w stronę klatki. Tak jak wcześniej, teraz też widziała pięć kucyków kuliło się, jak najdalej od siebie. Klaczka wygramoliła się spod krzaków i zaczęła biec wzdłuż linii drzew kierując się w kierunku więźniów.

- Apple Bloom! - usłyszała wołanie Sweetie Belle. - Wracaj!

- Muszę im pomóc! - odkrzyknęła nie odwracając się. Była coraz bliżej swojego celu. Przekradała się od drzewa do drzewa starając się nie zwracać na siebie uwagi. Zatrzymała się dopiero jakieś pięć metrów od klatki kucając pod krzakiem. Rozejrzała się dookoła. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy byli zbyt zajęci walką, by zajmować się więźniami. Wystarczyło tylko wyskoczyć i....

Poczuła silne uderzenie w głowę. Skuliła się instynktownie i objęła kopytami bolące miejsce. Spojrzała z przerażeniem tam, gdzie najpewniej stał jeden z tych wielkich kucyków. Ale zamiast ogiera zobaczyła swoje przyjaciółki, stojące nad nią z bardzo zagniewanymi minami.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedziała Scootaloo, która wciąż trzymała kopyto wysoko, jakby chciała znowu ją uderzyć.

- Co ci strzeliło do głowy! - złościła się Sweetie Belle. - Tu jest niebezpiecznie!

- Wiem - powiedziała tylko rozmasowując sobie bolącą głowę. - Przepraszam, dziewczyny.

- Co ty robisz? - dopytywał się pomarańczowy pegaz widząc, że Apple Bloom znowu kieruje się w stronę karawany. - Wracamy!

- Najpierw musimy otworzyć tę klatkę - stwierdziła żółta klaczka, jakby to było coś normalnego. - Nie możemy pozwolić im tam zostać. Jeszcze coś, im się stanie.

Pegaz i jednorożec wymienili spojrzenia. Zazwyczaj to właśnie żółta klacz była ich nieoficjalnym liderem. Dotąd jej zdanie było przyjmowane przez nie bez szemrania, ale teraz zawahały się. Tam było naprawdę niebezpiecznie. Zdrowy rozsądek nakazywał im zostać tutaj i czekać, aż walka się skończy. Jednak rozsądne myślenie

nigdy nie było ich mocną stroną. Obie klacze skinęły głowami i podążyły za Apple Bloom w stronę wozu więziennego.

- C-co robicie? - usłyszały piskliwy głos, gdy dotarły pod samą kratę. Mała klaczka ziemna o szarej sierści i białej grzywie patrzyła się na nie przerażonymi fiołkowymi oczami.

- Uwalniamy was - powiedziała szybko Apple Bloom z uśmiechem. Mina jednak szybko jej zrzedła zobaczyła kłódkę. Jak mogła o tym nie pomyśleć! Uderzyła się w czoło kopytem, gdy uświadomiła sobie jaką gafę popełniła. Żeby to otworzyć potrzebowała klucza.

- Tamten ogier ma klucz - powiedziała mała więźniarka wskazując leżącego na ziemi kucyka. Leżał przy kołach bliższego wozu, cały zalany krwią płynącą z rozciętej szyi. Dookoła niego kucyki wciąż zmagaly się ze sobą. Podkradnięcie się tam tak, by nikt tego nie zauważył, graniczyło z cudem. Ale musi spróbować.

- Zaraz wrócę - powiedziała tylko i zanurkowała pod wóz. Czołgała się, jak mogła najszybciej uważając, by nikt jej nie zauważył. Los jej sprzyjał, bez trudu dotarła do strażnika. Pot lał się z jej czoła, gdy wyciągała kopyto w stronę pęku kluczy zawieszonego na jego pasku. Szybkim ruchem ściągnęła go odetchnęła z ulgą, gdy było po wszystkim. Mogła już wracać. Uśmiechnęła się do siebie na myśl, o dobrze wykonanej robocie i zaczęła czołgać się z powrotem. Ale wtedy poczuła jak coś łapie ją za tylne kopyto.

Przez ciało klaczy przebiegł dreszcz. Na szczęście klucze trzymane w zębach stłumiły jej pisk. Żołnierz, którego wzięła za trupa patrzył się teraz na nią z tępym uporem trzymając ją z całej siły i raczej nie zamierzał jej puścić. Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko niezrozumiały charkot. Po jego szyi pociekło więcej krwi.

Apple Bloom szarpała się ze wszystkich sił, ale strażnik trzymał ją mocno. Żółta klacz spojrzała przerażona w kierunku swoich przyjaciółek. Wygląda na to, że nie tylko ona czuła strach. Obie jej przyjaciółki były blade, a Sweetie Belle chwiała się, jakby zaraz miała zemdleć. Mała Apple jeszcze raz spróbowała się wyrwać.

Nagle jeden z pozostałych żołnierzy upadł. Dzięki Celestii dokładnie na

trzymającym ją strażniku. Uścisk zelżał na tyle, że żółtej klaczy udało się uwolnić. Zaczęła czołgać się w stronę przyjaciółek najszybciej jak mogła. Gdy wydostała się z spod wozu, znalazła się w czyimś żelaznym uścisku.

- Nigdy więcej tego nie rób! - powiedziała Scootaloo patrząc na nią szklanymi oczami.

Apple Bloom odetchnęła z ulgą i pokiwała głową na znak, że się zgadza. Chwyciła pęk kluczy i spojrzała w stronę zamkniętej klatki. Chwilę później kłódka uderzyła tępo o ziemię, a drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

- Dziękuję! - powiedziała mała więźniarka zeskakując na dół i ściskając Apple Bloom z całej siły. Żółta klacz wpatrywała się w wyglądającą znajomo spinkę w kształcie trzech szarych baloników. - Nigdy wam się nie odwdzięczę. Przy okazji jestem Racky Pie.

Felix szedł niezwykle ozdobnym korytarzem. Bardzo szczegółowe portrety Księcia Blueblooda wisiały na ścianach, wydzielonych marmurowymi filarami. Na każdym z nich jednorożec był przedstawiony w innej pozie i innym otoczeniu. Jedynie jego dumny wyraz twarzy i pogardliwe spojrzenie było niezmiennie. Teraz Felixowi wydawało się, że obrazy go obserwują wbijając w niego wzrok pełen dezaprobaty i złości. Miarowe postukiwanie kopyt o marmurową posadzkę brzmiało nienaturalnie głośno.

Za ogierem szedł oddział żołnierzy, nieco uszczuplony i poobijany, ale wciąż groźny. Ciągnęli za sobą pobitego, szarego pegaza jak worek kartofli. Pomimo swojej beznadziejnej sytuacji i dość komicznym przedstawieniu jakie pokazał przy aresztowaniu rzucał się i robił harde miny.

Robi dobrą minę do złej gry. Cóż, to mu raczej nie pomoże, pomyślał Felix otwierając drzwi do salonu.

Willa Księcia Blueblooda była jednym z najbardziej ekskluzywnych w

Manehattanie. Nie było się zresztą co dziwić, w końcu należał do rodziny królewskiej. Pomieszczenie, do którego weszli miało ściany koloru głębokiej czerwieni z marmurowymi filarami poustawianymi w równych odległościach. Pomiędzy nimi znajdowały się szerokie okna z mahoniowymi ramami. Podłoga wykonana z lakierowanego drewna a w kątach najróżniejsze dodatki. Od półek na książki, po swoje własne popiersia. Felix już dawno zauważył, że Księżę uwielbia patrzeć na samego siebie, ale tutaj było to jeszcze bardziej widoczne.

Jasnowłosy jednorożec siedział w swoim ulubionym fotelu przy kominku, czytając jakąś zajmującą książkę. Jednak, gdy drzwi się otworzyły, przerwał lekturę i przesunął się tak, by widzieć wchodzących gości.

- Witaj Feliksie - powiedział nie wstając. Na jego ustach pojawił się tak dobrze znany szlachcicowi uśmiešek. Nie cierpiał go, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Witam, Panie - odparł kłaniając się dwornie. - Mam tego buntownika, tak jak chciałeś.

- Czy były jakieś komplikacje? - dopytywał się jednorożec wpatrując się w więźnia.

- Nic o czym warto wspominać - zachnął się Felix. Nie było sensu opowiadać Bluebloodowi, że stracił sześciu żołnierzy w starciu z dwoma brudnymi buntownikami. Wiedział, jak by się to dla niego skończyło.

- Dobrze - pochwalił go Księżę kiwając głową. - W takim razie na pewno udało ci się odzyskać raport sporządzony, przez naszego gościa - skinął głową na szarego pegaza - Oddaj mi go.

Felix stał w miejscu zastanawiając się gorączkowo jak wyjść z tej sytuacji. Musi coś wymyślić, inaczej loch będzie najlepszą rzeczą jaką go spotka. Niestety, w głowie miał pustkę, a Księżę z całą pewnością o tym wiedział. Po prostu się z nim bawił.

- Twoje milczenie jest wystarczającą odpowiedzią - westchnął Blueblood po dłuższej chwili. - Brać go.

Szlachcic nie zdążył nic zrobić. W jednej chwili dwóch strażników stało już za nim i obaliło go na ziemię. Przyciśnięty kopytami do posadzki wpatrywał się trwożliwie w

Księcia. Ten spojrzał na niego, niczym na jakiś szczególny gatunek owada, którym cieszy się oko, tylko po to, by chwilę później rozdeptać go kopytem. Felix przełknął ślinę.

- Ostrzegałem cię, Feliksie - powiedział beznamiętnym tonem. - Mówiłem, że nie toleruję niekompetencji. Miałeś swoją szansę i zmarnowałeś ją. Drugiej nie dostaniesz.

Blueblood spoglądał na swoich jeńców jakby zastanawiając się co robić dalej. Przez pewien czas w salonie panowała głęboka cisza, zakłócana jedynie przez przyśpieszonym oddechem Felixa.

- Tego zniewieściałego pegaza przesłuchać - powiedział do strażników znużonym głosem. - Natomiast ty, Felix za swoją niekompetencję dostaniesz tymczasowy areszt domowy. Wynoście się. Jestem już tobą zmęczony. Hmm.. może towarzystwo Fleur pomoże mi się nieco odprężyć? Jak myślisz? - zapytał się szlachcica oblizując ostentacyjnie wargi i zaśmiał się złośliwie.

Szlachcic wpatrywał się w Blueblooda z przerażeniem. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ten jednorożec, w jednej sprawie, że Felix stracił wszelką nadzieję. Wszystkie wysiłki mające na celu trzymanie córki zdala od tego skurwysyna. Czuł się, jakby ktoś zdzielił go obuchem. Patrzył się tylko w przestrzeń, niezdolny do zrobienia czegokolwiek.

- Nie ujdzie ci to na sucho - krzyknął szary pegaz starając się wydostać z uścisku strażników. - Księżniczka Celestia nie puści ci tego płazem! Sprawiedliwość zawsze zwycięża!

Gdyby Felix mógł roześmiałby się. Te słowa były tak głupie i nierzeczywiste, że aż dziw, że ten chłopak wierzy w takie bajki. Sprawiedliwości nie ma i nigdy nie było. Nauczył się tego już dawno temu, gdy wybrał się z ciekawości do Manehattańskich slamsów. Ten pegaz nic nie wiedział o życiu. Albo po prostu starał się podnieść na duchu samego siebie.

- Sprawiedliwość zwycięży, mówisz? - odezwał się na odchodne Książę Blueblood. - Oczywiście, że tak! Bo to zwycięzca będzie sprawiedliwością!

Przednie koła wozu podskoczyły na wyboju, a po chwili to samo stało się z tylnymi. Apple Bloom uderzyła się o drewnianą ramę, nabijając sobie sporego guza. Pocierając kopytem bolące miejsce ponownie spojrzała na nową znajomą - Racky Pie - która siedziała po drugiej stronie nie opuszczając starszej, wciąż nieprzytomnej klaczy na krok.

Mała klaczka okazała się - ku zdumieniu Zdobywców - siostrzenicą Pinkie Pie. Opowiadała jak z matką, Marble Pie przeprowadziły się do Hoofington, gdzie mieszkały razem z ojcem - zegarmistrzem.

- Tata miał w domu własny warsztat, w którym naprawiał i robił różne rzeczy - podjęła, gdy wóz przestał podskakiwać. - Tam też zdobyłam swój Znaczek - pochwaliła się pokazując dwie nakładające się na siebie przekładnie.

- Twoim talentem jest naprawianie zegarów? - dopytywała się Scootaloo. Po tonie jej głosu można było wywnioskować, że posiadanie takiego talentu wydaje jej się straszliwie nudne.

- Nie - zaprzeczyła Racky z półuśmiechem. Apple Bloom była zdziwiona, że wydaje się taka beztraska pomimo wcześniejszego uwięzienia i stanu jej mamy. - Jestem bardzo dobra w robieniu różnych mechanizmów.

Trzy przyjaciółki wymieniły się spojrzeniami. To wydawało, im się co najmniej ciekawe, a do Lasy Everfree został, im jeszcze kawał drogi.

- Zbudowałaś już coś? - zapytała się Apple Bloom. Szara klacz pokiwała głową i zajrzała do torby, którą wyciągnęła z jednego z przejętych wozów. Po chwili wyciągnęła z niej niewielki kwadratowy przedmiot. Był wykonany z metalu z przymocowanymi do niego balonikami wyciętymi z tego samego materiału. Był jednak poobijany i porysowany.

- Zrobiłam to dla cioci - wyjaśniła Racky sprawdzając stan urządzenia, jednak po minie było widać, że jest zmartwiona. - Chciałam dać jej to na urodziny, ale teraz nie wiem, czy nie trzeba będzie najpierw naprawić mechanizmu.

- A... co to właściwie robi? - chciała wiedzieć Sweetie Belle.

- To coś jak pozytywka - powiedziała szara klaczka, podnosząc wzrok znad pudełka. - Kiedy miałam zły humor ciocia śpiewała mi pewną piosenkę. To pudełko ją odtwarza. A przynajmniej tak robiło. Nie wiem, czy te ogiery czegoś w nim nie zepsuły.

- Może sprawdź - zasugerowała Apple Bloom, a jej przyjaciółki zgodnie pokiwały głowami.

- Hmm... chyba rzeczywiście tak będzie najlepiej - zgodziła się Racky i nacisnęła kostkę z jednej strony. Metalowy balonik schował się do środka, a z wnętrza małego urządzenia zaczęła płynąć przyjemna melodia. Po chwili trzy klaczki usłyszały znajomy, wesoły głos różowej imprezowiczki.

*Nazywam się Pinki Pie!
I jestem tu by rzec,
Sprawię, że się uśmiechniesz i rozjaśnię wnet twój dzień,
To już nie ma znaczenia,
Czy jesteś smutny, czy przygnębiony,
Bo pocieszenie moich przyjaciół jest tym, od czego Pinkie tu jest!
Ponieważ uwielbiam wywoływać u was śmiech, śmiech, śmiech,
O tak, uwielbiam,
Wypełnia to moje serce radością przez cały czas...*

Dźwięk nagle się zaciął, a balonik odskoczył z brzękiem. Kostka zamilkła, ale głos Pinkie Pie wciąż jeszcze śpiewał w głowach czwórki małych klaczek, wywołując na ich twarzach nieśmiałe uśmiechy.

- Zupełnie jakby tu była - skomentowała Scootaloo. Widać było, że to urządzenie zrobiło na niej wrażenie.

- Dzięki - odparła Racky, kładąc pozytywkę na podłodze i znowu grzebiąc w swojej torbie. Po chwili trzymała już w zębach śrubokręt. Wyciągnęła jedną ze ścianek

kostki i zaczęła majstrować w mechanizmie wewnątrz.

- Wow, ile tego jest - zdziwiła się Apple Bloom, na widok małych przekładni i zębatek w środku. - Co z tym zrobisz?

Szara klacz nie odpowiedziała. Chwytała tylko kolejne narzędzia, całkowicie pochłonięta swoją pracą. Zupełnie jakby wszystko wokół przestało mieć znaczenie. Żółta klaczka wzruszyła ramionami i postanowiła zostawić nową przyjaciółkę w spokoju. Zamiast tego postanowiła skupić się na obserwowaniu otoczenia.

Atak na karawanę był bardzo kosztowny. Z około trzydziestu kucyków, które wyruszyły z zamku, wracało tylko dwanaście. Thunderline padł pod koniec bitwy, a jego funkcję przejęła Lyra, niemal od razu nakazując powrót. Teraz znajdowali się gdzieś w pobliżu Lasy Everfree. Apple Bloom rozpoznawała stary dąb, rozłupany na dwie części.

Od wschodu otaczała ich ściana lasu, żółta klaczka widziała przemykające między krzakami króliki, lisy i inne niewielkie stworzenia, których nie zdążyła zidentyfikować. Na zachodzie, natomiast, głównym elementem krajobrazu był zamek Canterlot, widoczny z odległości wielu kilometrów. Na tle zachodzącego słońca góra, na której wybudowano stolicę sprawiała, że klacz czuła się nieswojo. Patrząc w kierunku stolicy, nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest obserwowana. Odwróciła wzrok.

Idące po obu stronach karawany kucyki szły przed siebie, pokiereszowane i ponure. Wszyscy mieli jeszcze w głowie niedawną bitwę. Apple Bloom również nie tryskała radością. Była pewna, że Sweetie Belle i Scootaloo również są przygnębione.

Ucho żółtej klaczki drgnęło, gdy usłyszała ciche nucenie. Odwróciła się powoli w kierunku dźwięku i zobaczyła białego jednorożca. Jej przyjaciółka kiwała głową w rytm niesłyszalnej melodii i zaczęła śpiewać. Apple Bloom rozpoznała piosenkę. To było coś na kształt hymnu, który Sweetie Belle wymyśliła parę dni temu. Nie była może najwyższych lotów, ale wpadała w ucho, i budziła w kucykach silne emocje, co czyniło z niej idealną piosenkę na tę okazję. Apple Bloom nie potrafiła przekonać się do tej piosenki, ale żołnierzom bardzo się podobała. Jej przyjaciółka miała niezwykle talent do pisania dokładnie takich piosenek, jakie kucyki chcą usłyszeć i śpiewania ich w odpowiednim momencie. Dziwne, że nie dostała jeszcze, za to swojego Uroczego

Znaczka.

*Siostry przybądźcie znów,
bracia słuchajcie mych słów,
nadchodzi dzień, wolności czas,
niech na nowo zapłonie ogień w nas!*

*Ponad góry, ponad chmury,
wschodzi słońce dodając otuchy,
z góry patrzy na dzieci swe,
płacze widząc co spotkało je!*

*Jednak w sercach naszych żar,
w nich nadzieja wciąż się tli,
złożmy ten cudowny dar,
w ofierze nowych pięknych dni!*

Kucyki szły teraz rażniej, pełne nowej determinacji. Pomimo że nierówno i niewłaściwie wypowiadając niektóre słowa, wszyscy zgodnie śpiewali piosenkę Sweetie Belle, która motywowała ich do działania i dawała nadzieję, na lepsze jutro. Apple Bloom nie mogła się nadziwić, patrząc jak wszyscy wokół wyśpiewują piosenkę białego jednorożca. Ona naprawdę potrafiła porwać publiczność.

Gdzieś w lesie zahuczała sowa, a słońce przybrało pomarańczową barwę. Chowało się powoli, ociężale. Jakby chciało jak najdłużej słuchać piosenki, wyśpiewywanej przez dwanaście zmęczonych kucyków. W końcu jednak i ono zniknęło za horyzontem.

Książę Blueblood jak zwykle o tej porze siedział w swoim ulubionym fotelu, rozkoszując się ciepłem bijącym z marmurowego kominka. Popijając swoje ulubione wino wpatrywał się w huczące płomienie, jakby chciał dostrzec w nich jakiś istotny szczegół, który wciąż pozostawał dla niego nieuchwytny.

Nagle drzwi do salonu otworzyły się i do środka wszedł tęgi ogier o trupiobiałej sierści i skołtunionej grzywie tego samego koloru. Był ubrany w zużyty skórzany kaftan, na którym widać było sporo czerwonych plam. Osoby takiego pokroju zazwyczaj nie mogły zbliżyć się do Księcia na odległość rzutu kamieniem, ale ten ogier był wyjątkiem. Był to bowiem osobisty kat białego jednorożca - Lucky.

Pomimo swojego imienia, kuc ziemny nigdy nie wyglądał na szczęśliwego. Jego oczy wydawały się martwe, a twarz była bez wyrazu.

Stanął kilka metrów przed Księciem i odezwał się głosem równie żywym co jego spojrzenie.

- Dobre wieści Panie, Więzień zaczął mówić.

Blueblood rozsiadł się wygodniej w fotelu. Początkowa irytacja wywołana pojawieniem się nieproszonego gościa ustąpiła miejsce rosnącemu zadowoleniu.

- Stawiał opór? - zapytał się z niejakim zainteresowaniem.

Lucky wydał z siebie odgłos, który w zamyśle miał być chyba śmiechem, ale w praktyce brzmiał jak kaszel.

- Nie za bardzo - odparł kat. - Chłopak pękł w momencie, gdy opisywałem mu szczegółowo jak działa piła do kości. Niestety, dzieciak nie wiedział nic przydatnego..

- Rozumiem - powiedział Blueblood z rozczarowaniem. - Wielka szkoda. Miałem nadzieję, no coś więcej.

- Mam też dobre wieści - dodał kat po chwili. Jednorożec spojrzał na ogiera z lekkim rozdrażnieniem.

- Nie mogłeś zacząć od nich? - zapytał krzywiąc się. - Co to za interesujące wieści?

Lucyk odczekał chwilę, jakby chcąc zbudować odpowiednie napięcie. Wykrzywił twarz w przerażającym grymasie ukazując spróchniałe pieńki zębów. Musiało upłynąć kilka chwil, zanim jednorożec zorientował się, że kat się uśmiecha.

- Na zachodnim trakcie miał miejsce napad na karawanę - wyjaśnił. - Wozy zniknęły. Na miejscu znaleziono tylko kilkadziesiąt ciał. Zarówno naszych żołnierzy, jak i buntowników.

- To ma być dobra wiadomość? - warknął Blueblood rozeźlony.

- Nie - zaprzeczył Lucky beznamiętnie. - Dobra wiadomość jest taka, że ktoś przeżył. Jeden z buntowników, został znaleziony w rowie przywalony ciałem naszego gwardzisty.

- Chyba już wiem, o co ci chodzi. - powiedział Książę. Na jego twarzy ponownie zagościł okrutny uśmiech. - Może i ta zielona pokraka nic nie wie, ale ten pojmany pegaz z pewnością udzieli nam odpowiedzi na nasze pytania. Rozumiem, że jest już w drodze?

- Oczywiście - skinął głową Lucky.

- Doskonale - ucieszył się Blueblood. - Jak tylko przybędzie do Manehattanu, wydostań z niego wszystkie informacje. Użyj wszelkich dostępnych środków. Ale nie zabijaj go. Jeszcze nie.

- Zgodnie z rozkazem - odparł kat prostując się i wychodząc z salonu. Biały jednorożec ponownie został sam. Był w szampańskim nastroju. Wreszcie wszystko zaczęło układać się po jego myśli.

=====

===

[<<Rozdział 8 Rozdział 10 >>](#)